NOWINY TYGODNIA

Dodatek społeczno - kulturalny „Nowin Rzeszowskich"

Nr 21 (464) SOBOTA 6 CZERWCA 1959 R.

ROK SŁOWACKIEGO

Z okazji Roku Słowackiego Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie przygotował „Fantazego" w reżyserii Bolesława Smeli i w oprawie scenograficznej Salomei Gawrońskiej. Publiczność zebrana na premierze prasowej w dniu 30 maja obdarzyła wykonawców i reżysera rzęsistymi oklaskami. Obecnie zespół udał się z „Fantazym" do różnych miejscowości województwa rzeszowskiego. Aktorzy odwiedzą również Krynicę i Zakopane.

Rzecznicki (Jerzy Mędrkiewicz) i Fantazy (Janusz Cywiński).

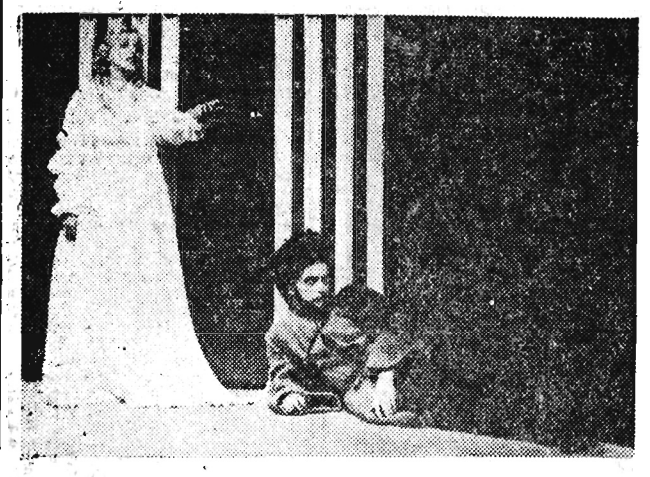

Hrabina Idalia (Nina Czerska) i Jan (Zenon Nocoń)

...KOŃCZY WŁAŚNIE SIÓDMĄ KLASĘ

GDY się ma 14 lat — niesłychanie trudno zdecydować o własnej przyszłości. Tym bardziej, że w tym wieku człowiek ma tak wiele różnych pragnień. Gdy więc nie może przeważyć ani romantyka podniebnych podróży, ani rozsądek rodziców, a zdolności są przy tym dosyć niesprecyzowane, ktoś siada i prosi o radę, np.... radioreklamę. Autentyczne.

MIĘDZY SREBRNYM EKRANEM A REZURĄ

„Jeżeli nie można się dostać do szkoły filmowej, proszę o adres szkoły fryzjerskiej"... Albo: „Podajcie mi, gdzie jest szkoła fototechniczna, bo postanowiłem być fotoreporterem". Ile listów, tyleż prawie nieporozumień jeśli chodzi o specyfikę szkoły, własne uzdolnienia, charakterystykę wybranego zawodu. Są także i takie listy: „Podajcie mi adres jakiejś szkoły, bo właśnie kończę 7 klasę". A w domyśle: **podajcie mi adres szkoły jakiejkolwiek, bo jestem bezradny**, bo nie mogę się zdecydować, a przed ukończeniem zapisów muszę się gdzieś zaczepić. Tego rodzaju pytania otrzymuje wiele oświatowych instytucji, a m.in. i nasza gazeta.

Niewiele jest młodych dziewczyn, które w skrytości ducha nie marzyłyby o karierze aktorki filmowej. Jednakże olbrzymia większość tych marzących, tak jak i większość niedoszłych lotników, bez głębszego żalu żegna się z nieopierzonymi porywami. Działa tu odzywający się już rozsądek, działa namowa, ale nierzadko także — przypadek. I o ten przypadek właśnie chodzi. Bo przecież powinien być wyeliminowany, aby uchronić przyszłego pracownika przed nielubianą pracą, wykonywaną źle i niechętnie.

A tymczasem nierzadko decyduje szereg czynników, które nie powinny decydować. Czasem fakt, że dana szkoła jest w pobliżu; innym znów razem chęć wspólnej nauki z przyjaciółmi. Panuje również moda na pewne zawody, której częściej zresztą ulegają sami rodzice, niż ich dzieci. W konsekwencji odsiew w szkołach zawodowych jest bardzo duży. Po pierwszych latach odpada część uczniów, którzy już zorientowali się, że szkoła nie odpowiada ich wyobrażeniom o niej, bądź też sam zawód ich nie interesuje. Szukają więc dalej, brną po omacku, próbują.

„PAŃSTWOWA WRÓŻKA"

I wreszcie ktoś obwieszcza: jest takie coś, co ci dobrze wywróży, gdzie czeka cię powodzenie życiowe. Powiedzą ci, że powinnaś zostać nie gwiazdą filmową i nie fryzjerką, a np. pielęgniarką. Po odpowiednim ustawieniu klocków stwierdzą, że jesteś urodzonym tokarzem. **Ta państwowa wróżka zwie się poradnią psychologiczną.** Obecnie mamy takich poradni 20 i 3 punkty konsultacyjne. (W Rzeszowie poradnia mieści się w gmachu Kuratorium przy placu Zwycięstwa 7 i czynna jest codziennie (oprócz poniedz.) od godz. 8—14). Ponieważ najtrudniej jest podjąć decyzję o wyborze zawodu młodzieży 13—14-letniej, praca tych placówek służy przede wszystkim absolwentom szkół podstawowych, chociaż nierzadko zwracają się do nich także maturzyści.

A jak jest z tym ustawianiem klocków, mówiących o uzdolnieniach? Mili moi, nie spodziewajcie się jednak za dużo. Poradnie zawodowe to nie czarnoksięstwo. Nikt tu nikomu nie wróży ani z rąk, ani z klocków. Psycholog i lekarz pracujący w poradni nie biorą na siebie ostatecznej decyzji kim ma zostać dziecko. Oni tylko radzą. Aby jednak mogli radzić, muszą to dziecko poznać. Główny ciężar procesu poznania, to rozmowa i to taka zwykła, jaką każdy z was przeprowadza ze swym dzieckiem codziennie. Czasem taka rozmowa wystarczy. Ale zdarza się, że pogawędka to za mało, by dziecku coś doradzić. I wtedy psycholog ma pewne podstawowe pomoce w obserwacji .A więc te pozornie tajemnicze testy, których układanie i rozwiązywanie pozwala na ujawnienie się pewnych cech dziecka.

Pozwalają one wysunąć ogólną opinię o tym, czy dziecko myśli szybko, ale niesystematycznie, czy jego namysł jest wolny, ale za to metodyczny, czy jest niecierpliwe, czy kieruje się bardziej doświadczeniem czy namysłem. Czy umie myśleć abstrakcyjnie, czy raczej rozumie konkrety. Są to jednak wszystko wiadomości uzupełniające, które same, bez uprzedniego poznania, nie mają pełnej wartości.

Zdarza się, że dziecko ma szybką orientację, jest uważne, spostrzegawcze i chce zostać kierowcą. Ujawnione cechy charakteru i duża sprawność rąk zdają się wróżyć, że tu właśnie zamiłowania pozostają w zgodzie z predyspozycją psychiczną i właściwościami charakteru. Ale oto na widownię wkracza lekarz, który orzeka: dziecko nie rozróżnia wszystkich kolorów, a jak wiadomo daltonizm wyklucza prowadzenie pojazdów. U kandydatów do zawodów tzw. stojących, a więc tokarza, sprzedawcy sklepowego, fryzjera, kelnera ,wykryto ukształtowaną już płaską stopę, która może przy wykonywaniu tych zawodów utrwalić się albo pogorszyć. Oczywiście, dziecku trzeba jego wybór odradzić. Inna, drobna dolegliwość — np. potnienie dłoni jest przeciwskazaniem przy wyborze zawodu zegarmistrza czy elektromontera, stykającego się w pracy z elektrycznością.

PREORIENTACJA — — SPRAWA ZASADNICZA

Poradnictwo zawodowe to jednak nie tylko poradnie. Tak jak nie każdemu choremu potrzebny jest szpital, tak też nie każdemu dziecku trzeba aż porady psychologa, czy lekarza specjalisty. Jak wykazują obserwacje, tylko 30 proc. siedmioklasistów wymaga specjalnej opieki przy wyborze zawodu i ta właśnie ilość to „klienci" poradni psychologicznych. Natomiast 70 proc. dzieci może podjąć decyzję przy pomocy rodziców i wychowawców.

Wiadomo przecież, że nawet najlepszy psycholog — w czasie jednej czy dwu wizyt, przy pomocy najwymyślniejszych nawet testów — nie może poznać dziecka równie gruntownie, jak powinien je znać wychowawca, który uczy je kilka lat, czy rodzice, którzy obserwują rozwój dziecka przez lat 14, znają jego zamiłowania i uzdolnienia. Dlatego też w poradnictwie zawodowym najważniejsza jest preorientacja zawodowa, a więc codzienne zapoznawanie młodzieży ze specyfiką poszczególnych zawodów, rodzajem szkół, możliwością zarobkowania.

I tu głos mają nauczyciele. Oni w ostatnich klasach powinni szczególnie bacznie obserwować dziecko ,by w odpowiedniej chwili pomóc mu w podjęciu decyzji. Robią to zresztą bardzo często. Aby im przyjść z pomocą, poradnie organizują pogadanki dla nauczycieli, wyjaśniając jak w tej decydującej chwili pomóc zarówno dziecku jak i rodzicom. Już wkrótce nauczyciele, a następnie i rodzice, otrzymają popularne opracowanie charakterystyk poszczególnych zawodów, co bardzo ułatwi im orientację w możliwościach i zasadach kształcenia.

Nie wierzcie więc w cuda. Poradnia psychologiczna to nie państwowa wróżka, która w ramach budżetu Ministerstwa Oświaty załatwi za was problem wyboru zawodu. Poradnia pomaga w sprawach wątpliwych i szczególnie trudnych. W większości wypadków wystarczy stały kontakt ze szkołą, z wychowawcą, który zna wasze dziecko, jest przy tym często od was obiektywniejszy. A problem w jakim macie podjąć decyzję jest niebagatelny. Dziecko kończy właśnie siódmą klasę.

BARBARA SIDORCZUK

CO DALEJ ESTRADO?

ZWOŁANA ostatnio przez Centralny Zarząd Ministerstwa Kultury i Sztuki konferencja dla omówienia proponowanych zmian w organizacji imprez estradowych wysunęła kilka wniosków nad którymi warto się zastanowić. Jednym z nich jest projekt powołania wojewódzkich komisji ocen artystycznych, które — niezależnie od wszelkich innych czynników, — wydawałyby ostateczną, wiążącą decyzję o wystawieniu spektaklu.

Następna ważna sprawa, to wyłączenie spod kompetencji Estrady objazdowych zespołów teatralnych, opierających swój repertuar na pełnospektaklowych utworach. Dotychczas Estrada, tj. Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych, prowadziło dwojaką działalność: imprez typu teatralnego i estradowego, tj. małych form, estrady poetyckiej itp. Obecnie działalność Estrady ograniczona będzie do małych form i poezji.

Przy tej okazji wyłoniła się sprawa dostarczania repertuaru dla małych form — takiego, który by nie był przypadkową składanką, ale zawierał jakąś ideę przewodnią. — Bo przecież repertuar Estrady powinien wychowywać przyszłych widzów teatralnych — mówiono. I zaraz padło pytanie: A dla kogo repertuar? Kto adresatem? Małe miasteczko — świetlica zakładu pracy — wieś? Nie ma mowy o jednolitym repertuarze! — wołano.

Wołano jeszcze o jedno: o centralizację repertuarową. Niech Ministerstwo dostarcza repertuaru dla małych form, niech samo umawia się z autorami, niech centralnie dobiera autorów w Warszawie! Teren dawał przykłady, jak nie kleją się kontakty poszczególnych zespołów estradowych nawet z powszechnie znanymi pisarzami.

Dyskutowano też, czy imprezy Estrady mają być samowystarczalne czy subwencjonowane? A jeśli tak, to przez kogo? Przez poszczególne rady narodowe dysponujące funduszem interwencyjnym na dotowanie szczególnie wartościowych imprez, czy przez Ministerstwo Kultury i Sztuki? Zanim zapadną w tej i w innych sprawach ostateczne decyzje, głos ma jeszcze tzw. teren.

Zgodzono się powszechnie na jedno: Estrada powinna być narzędziem naszej polityki kulturalnej, jej „upowszechnieniem".

acz.

10 dni z Masiną

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z WARSZAWY)

„Grand Hotel" Warszawa. Pokój 214 — morze kwiatów. Jest dopiero godzina 6. Masina już po kąpieli i śniadaniu, charakteryzator Włoch od pół godziny przygotowuje „makijaż" artystki do zdjęć. Jeszcze chwila, a spod hotelu rusza samochód ekipy filmowej kręcącej w Dąbrowie film „Jons und Erdme". W samochodzie reżyser Wicas, Masina jej partner Radatz.

Dąbrowa Nowa — nazwa na ironię! Tu oczekuje aktorów chłopski wóz, który zawiezie ich na teren zdjęć. Masina odbiera lejce od woźnicy, powozi sama.

Mokradła, w powietrzu przejmująca wilgoć. Pusto — szaro-błoto. Ludzie uczynili ten zakątek jeszcze smutniejszym, posadzili nagie wierzby, wykosili trzcinę odsłaniając brudną taflę wody.

Ekipa techniczna zapala świece dymne (zdjęcia wykonane w dzień, kinomani oglądać będą na filmie jako scenę w czasie mglistej nocy). Dym wżera się w usta i oczy. Uszy pękają od nieznośnego skowytu wilczura — czworonożnego aktora, ten przyjemniaszek po zabiegu charakteryzacyjnym — zaaplikowaniu 60 jaj, którymi wysmarowano mu sierść wygląda dosyć nędznie, ale uczciwie pracuje na chleb.

Zdjęcia trwają już kilka godzin. Masina dygoce z zimna, po kilku prysznicach sztucznego deszczu tuli się do swojej nieocenionej opiekunki p. Massari. Duże, żywe oczy gasi zmęczenie.

— Giulleta!

— Si! Si!

Masina już jest na „planie". Uśmiecha się. Reżyser Vicas (twórca filmu „Droga bez powrotu" i „Pan życia i śmierci") wydaje dyspozycje w czterech językach, które są wykonywane w jednej sekundzie.

Masina już kilkakrotnie powtarza scenę (ładowanie w nocy skradzionego drzewa na wózek), wreszcie Vicas daje sygnał operatorom: kręcić!

Pytano co mnie najwięcej zaskoczyło w pracy niemieckiej ekipy filmowej w Dąbrowie? — To nie przesada — niezwykła dyscyplina, o jakiej nie zawsze mamy pojęcie!

W czasie 10 dni prawie codziennie rozmawiałam z G. Masiną. Wielka aktorka jest również wielkim o niezwykłym sercu człowiekiem. Może „szkoła życia" taką uczyniła aktorkę. Przez 12 lat grała tylko epizodyczne rólki. Przez pół roku znakomity włoski reżyser Fellini poszukiwał aktorki do roli Gelsominy W końcu zdecydował się na próbne zdjęcia z Giulietta. „La strada" przyniosła Masinie sławę.

Wiele razy proponowano wybitnej aktorce główne role w filmach, których przepych, wystawy współzawodniczą z urokiem pejzażu i bogactwem strojów bohaterów filmowych. — Odmawiała! Bliższe jej były ludzkie niedole codzienne sprawy człowieka. — Taka jest również w życiu. Skromna, bezpośrednia, roześmiana, zakochana w muzyce.

Niejednokrotnie podziwiałam aktorkę, gdy po całodziennej wytężonej pracy brała udział w licznych przyjęciach wydanych na jej cześć.

Do Karolina przybyła Masina o godz. 21. „Mazowsze" powitało ją tradycyjnym „100 lat". Głęboko wzruszona Masina dziękowała ze łzami w oczach za najserdeczniejsze powitanie.

W ten wieczór była niezmordowana. Żywa, interesowała się strojami „Mazowsza", pół godziny spędziła w garderobie zespołu. Po oficjalnym występie, roześmiana Masina, tańczyła do upadłego z chłopcami z „Mazowsza".

Niełatwo być wielką aktorką, trzeba mieć talent, serce, ale i zdrowie. Masina codziennie przyjmowała liczne delegacje wielbicieli jej talentu. Codziennie napływały z całej Polski liczne listy. Aktorka była niepocieszona, że brakowało jej czasu, aby odpowiedzieć na wszystkie. Żałowała również bardzo szczerze, że nie poznała naszego kraju, który tak serdecznie ją przyjął.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Giulietta Masina za pośrednictwem „Nowin" przesyła swoim wielbicielom w województwie rzeszowskim gorące pozdrowienia.

10 DNI Z MASINĄ

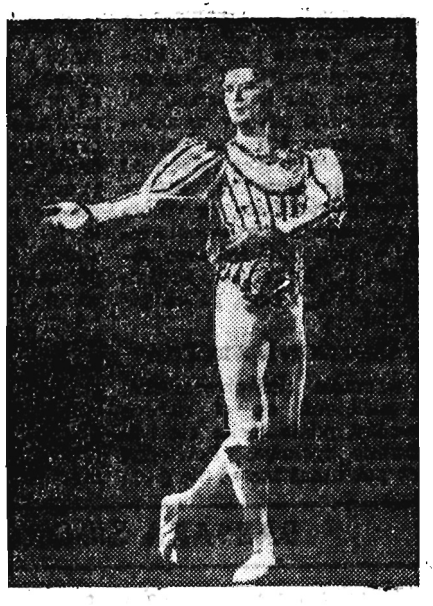

Margot Fonteyn i jej partner znany tancerz Michale Somes, którzy występując w Warszawie w „Jeziorze Łabędzim" odnieśli wielki sukces: przesłali czytelnikom „Nowin Rzeszowskich" serdeczne pozdrowienia.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Partnerem Giulietty Masiny w filmie „Jons und Erdme" jest Karl Radatz, jeden z czołowych aktorów teatru berlińskiego. W pierwszych dniach nakręcania filmu w Dąbrowie, od rana do południa Radatz był Jonsem a wieczorem w Berlińskim Teatrze wujaszkiem Wanią w sztuce Czechowa. Codziennie po południu startował z Warszawy samolotem, który przewoził aktora do Berlina. W nocy historia się powtarzała, samolot z Berlina lądował w Warszawie. Wcielenie wujaszka zlikwidował Radatz biorąc miesięczny urlop. Ten wybitny aktor gra również główną rolę w sztuce Brechta „Opera za trzy grosze". W sierpniu Masina i Radatz przystąpią do zdjęć w nowym filmie „Opera za trzy grosze", który zostanie nakręcony w Berlinie.

Ekipa filmowców opuściła już Dąbrowę, wyjechała do Berlina, gdzie zostaną dokończone zdjęcia do filmu „Jons und Erdme", potem Masina wyjeżdża na jednomiesięczny wypoczynek do Włoch, który ją bardzo cieszy, bo wreszcie będzie mogła zająć się gospodarstwem domowym co jest jej ulubionym zajęciem.

* * *

Prawie 3 tygodnie temu występy „Mazowsza" w sali Kongresowej Pałacu Kultury i Sztuki z tego samego rzędu z zainteresowaniem śledziły dwie wielkie artystki, primabalerina Opery Londyńskiej M. Fonteyn i G. Masina. Ich gorące oklaski były nie tylko wyrazem dla wielkiej sztuki „Mazowsza", były podziękowaniem i pochwałą gościnnego kraju jego serdecznych ludzi.

To nie są moje słowa...

ARLETTA GAJEWSKA

WOŁODYJOWSKI XX WIEKU

CHOĆ minęło od tamtego dnia już chyba 4 bez mała lata, pamiętam go jak dziś. Ruszyliśmy któregoś dnia rankiem czerwonym szlakiem przez Bieszczady. Ale że był to dopiero pierwszy dzień naszej włóczęgi, a obładowani byliśmy jak przysłowiowe jucznie wielbłądy, więc odpoczynek wypadał nam pod każdym niemal drzewem i gdy noc zapadła byliśmy dopiero w połowie drogi do Cisnej. Zamiast więc kontynuować wędrówkę turystycznym szlakiem puściliśmy się na przełaj leśną dróżką w dół do wsi, która widniała na mapie i nosiła nazwę Rabe.

Droga była wąska, usiana wystającymi głazami, a co krok gwałtowną falą wdzierały się na nią kępy leśnych krzewów. Pod jednym z takich krzewów, który boleśnie podrapał mi ręce, znaleźliśmy koński szkielet. Biała czaszka z wyszczerzonymi zębami sprawiała w księżycowej poświacie niesamowite wrażenie. O parę kroków dalej napotkaliśmy na rozsypaną amunicję — pogiętą i pordzewiałą. Na brzegu jaru, przez który droga się przedzierała leżały szczątki rozbitego wozu: obręcze z kół, okucia z kawałkiem dyszla, a wśród tego wszystkiego zardzewiała karabinowa lufa bez zamka.

— E, tam — kolega machnął ręką — nie masz co w tym grzebać. Te resztki to wszystko co zostało z UPA. Tu w tych lasach co krok znajdziesz bunkier czy ziemiankę z podobnymi „relikiami".

Nie wyciągałbym tej przygody z zapomnienia, gdyby nie fakt, że ostatnio wpadła mi w ręce książka M. Kunickiego noszącą tytuł: „Pamiętnik Muchy"*). W tej książce nazwy szczytów: Chryszczata, Wołosań i Łopiennik czy wsi: Rabe, Cisna, Kalnica, Komańcza, Balnica i w ogóle Bieszczady zajmują poczesne miejsce. Pod koniec ostatniej wojny bowiem w tym rejonie operowało silne zgrupowanie radzieckich partyzantów posiłkowane przez miejscowych ochotników polskich, zaś jego dowódcą był nie kto inny, a autor książki M. Kunicki. Może to właśnie jego zgrupowanie silnie atakowane w okolicach wsi Rabe przez Niemców pozostawiło na leśnej dróżce koński szkielet i rozbity wóz?

Trzeba przyznać, że przygody Kunickiego — partyzanta z powołania, zagończyka wg najlepszych polskich wzorów z XVII wieku, „Wołodyjowskiego w ludowym wydaniu" jak go trafnie nazywała autorka wstępu do jego książki, są po prostu fantastyczne. I trudno byłoby w nie uwierzyć, gdyby nie to, że autor zabezpieczył się przed podobną niewiarą dołączając do swej książki plik rozkazów z lat 1943—1945 i powołując się na świadectwa ludzi do dziś żyjących.

Autor „Pamiętnika Muchy" (Mucha" to był jego partyzancki pseudonim) — podoficer przedwrześniowego wojska, który wskutek zatargu z przełożonymi wystąpił ze służby, został w czasie wojny zmobilizowany przez Niemców na Polesiu do 104 batalionu Schutzpolizei. Od tej chwili rozpoczynają się jego niezwykłe przygody. Wraz z 4 kompanią tego batalionu uchodzi w czasie wyprawy na partyzantów w las i sam przyłącza się do radzieckiego zgrupowania partyzanckiego gen. Begmy.

Na kartach książki odżywa autentyzm tamtych czasów — sucha, ale bynajmniej nie beznamiętna kronika partyzanckich nocy i dni, nadludzkich trudów i radości po odniesionych zwycięstwach, nocnych marszów i nagłych potyczek. Odżywają akcje przeprowadzone najpierw przez Zjednoczenie Polskich Partyzantów im. T. Kościuszki, a potem przez oddział partyzancki im. J. Stalina, którym Kunicki dowodził od początków 1944 roku.

Ten oddział w lipcu tego samego roku przez wsie pow. ustrzyckiego: Jureczkową, Krościenko, Czarną i Polanę wkroczył w Bieszczady i tu zaczął trzepać skórę nie tylko Niemcom, ale i służącym im ukraińskim nacjonalistom. Stoczył zwycięską walkę na górze Otryt, rozbił batalion własowców we wsi Polana, ujął w zasadzce zrobionej pod wsią Jabłonki niemieckiego pułkownika, wreszcie wytrzymał okrążenie hitlerowców na górze Chryszczata i pod wsią Rabe przebił się przez front.

Kunicki nie skąpi nam opisów tych akcji. Relacjonuje je tak, jak się one przedstawiały w rzeczywistości, nie żałując pióra, by możliwie jak największym autentyzmem

MIKOŁAJ KUNICKI

przedstawić partyzanckie życie, wcale nielekkie i wcale niesłodkie.

Ten autentyzm to chyba rzecz najcenniejsza w książce Muchy. Znalazły się w niej nazwy miejscowości codziennie niemal w relacjach z Bieszczad wspominane, nazwiska ludzi, którzy do dziś w Wołkowyi, Rajskiem czy Polanie żyją i pracują, wreszcie fakty z bojów partyzanckich podawane możliwie dokładnie, z kronikarską dokładnością, fakty będące świadectwem tego, co oddział Kunickiego na tym terenie wykonał.

Książka, o której mowa zasługuje na uwagę także i z tego względu, że ukazuje nam nieznane na ogół dzieje wielkich radzieckich zgrupowań partyzanckich walczących na naszej ziemi, w skład których wchodziły m. in. polskie oddziały. Te zgrupowania utrzymywały jak najściślejszą łączność ze Sztabem Ruchu Partyzanckiego w Moskwie, były przez niego regularnie zaopatrywane w broń, amunicję, żywność i odzież oraz kierowały się w tych akcjach wskazaniami tego Sztabu. Np. ostatni zrzut z zaopatrzeniem dla oddziału, którym dowodził Kunicki, miał miejsce na górze Otryt w dzisiejszym pow. ustrzyckim.

* * *

PRZED trzema bodajże miesiącami zetknąłem się przypadkowo z „Muchą" kawalerem najwyższych odznaczeń radzieckich, polskich angielskich (za pomoc okazaną angielskim lotnikom, którzy spadli pod Krzeszowem w pow. leżajskim), a w „cywilu" pracownikiem Zjednoczenia Przemysłu Mięsnego w Zamościu. Opowiadał mi wtedy, o swojej książce, która już się w drukarni MON drukowała. Cieszył się, że będzie taka, a nie inna, że zda w niej relację nie ze swoich czynów, a z czynów oddziału, którym dowodził, że przypomni o ludziach takich jak leśniczy Maciejewski z Lutowisk, bracia Pawlusiewicze z Rajskiego, którzy przyłączyli się do jego oddziału z 27 ludźmi, czy Kociołkowej — naczelniku poczty z Wołkowyi, która oddała jego partyzantom niemałe przysługi. Myślał, o tym, by o wszystkich pamiętać i o każdym wydarzeniu, którego czasu w pamięci nie zatarł przypomnieć. I chyba mu się to w jego książce udało.

A. SOCHA

*) Mikołaj Kunicki — „Pamiętnik Muchy" — Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej — str. 438 — cena zł 15.

Na marginesie eliminacji

Kowalu, kowalu, coś się tak zapalił...

PRZEZ trzy dni (30, 31 i 1) Rzeszów żył tańcem i piosenką ludową. Na wojewódzkie eliminacje II ogólnopolskiego konkursu kapel, śpiewaków i tancerzy ludowych przybyło blisko 30 zespołów artystycznych (nie licząc solistów), reprezentujących poszczególne regiony sztuki ludowej naszego województwa.

Był to imponujący przegląd dorobku artystycznego rzeszowskiej wsi, znanej z bogatych tradycji w działalności kulturalno-oświatowej.

Przez estradę WDK przewinęły się dziesiątki najlepszych zespołów tanecznych, kapel ludowych, zespołów pieśni i tańca. Rzecz oczywista, nie wszystko co oglądaliśmy w czasie konkursu zasługiwałoby na przesadne pochwały. Szereg zespołów zaprezentowało i przeciętny poziom, i banalne lub wręcz niedobre układy choreograficzne, bądź też fałszywie stylizowane widowiska regionalne. Najczęściej pomyłki i niedociągnięcia wynikały z braku dostatecznej pomocy ze strony specjalistów, których ciągle przecież nie mamy za wielu.

Były więc i takie wypadki (co prawda nieliczne), że dobre w ubiegłym roku zespoły — wykazały spadek formy. Daleko przyjemniejsze były niespodzianki: do nich zaliczyłbym przede wszystkim młody i sympatyczny zespół taneczny Rafinerii Nafty z Nieglowic koło Jasła pod kierownictwem Wandy Rysiówny — jeszcze przed rokiem nieznany.

Niezależnie jednak od pomyłek i niespodzianek — podkreślić trzeba ogromną ambicję i oddanie dla szlachetnej rywalizacji ze strony członków wszystkich zespołów. Nie dość skwitować jednym zdaniem ogromny trud wszystkich bez wyjątku instruktorów — włożony w pracę z zespołami.

Z niekłamanym podziwem obserwowałem brawurę, — wdzięk w tańcach i przyśpiewkach ludowych dziewcząt i chłopców z Odrzykonia, Nieglowic. Wymieniam tu pierwszy z brzegu zespół na chybił trafił: nie podobna wyliczyć wszystkich. Niekiedy były to zespoły urzekająco młode jak np. wspomniany już zespół taneczny z Odrzykonia. Jego członkowie dopiero co ukończyli szkołę podstawową. Kapelusze zasłaniały twarze chłopców, po prostu były dla nich za duże. Ale swoboda, naturalny gest, lekkość i młodość zjednywały zespołowi sympatię i widowni i jury — mimo że jego produkcjom artystycznym daleko było do doskonałości.

Przypominam sobie 5-osobową kapelę z Brzany (pow. Gorlice), złożoną z członków dwu rodzin. 15-letnia może członkini tej kapeli, grająca na skrzypcach — dla mnie była symbolem współdziałania młodego pokolenia ze starszym.

Młodzież zresztą widzieliśmy w czasie eliminacji na każdym kroku: na pewno nie jest ona obojętna dla spraw kultury — jak to często się słyszy — trzeba tylko umieć do niej trafić, pozyskać ją do pracy.

Bez przesady można powiedzieć, że środowiska wiejskie w naszym województwie wykazują największy dynamizm w działalności kulturalno-oświatowej. Gdy zestawimy tak skąpe wciąż podstawy materialne ruchu kultualno-oświatowego na wsi, brak lokali świetlicowych, wyposażenia, instruktorów — to twierdzenie nie będzie budzić wątpliwości. Np. w kilku miejscowościach na Pogórzu, nauczycielstwo, regionaliści zebrali i opracowali zapomniane już niemal zwyczaje tzw. „Prządki". Wystawionym przez zespół z Łużnej na eliminacjach wojewódzkich widowiskiem regionalnym „Prządki" zainteresowała się telewizja warszawska, przed której kamerami występowały już w ubiegłym roku zespoły z Bobowej, Wójtowej (pow. Gorlice), Górek (pow. Brzozów).

Nie widziałem niestety zespołu z Glinika Zaborowskiego z pow. strzyżowskiego, zdobywcy I miejsca w kategorii zespołów tanecznych. Zespół ten stał się rewelacją tegorocznych eliminacji w Rzeszowie. Słyszałem natomiast jego założyciela, znanego działacza-regionalistę, Stefana Kłosowicza.

Przyśpiewki w jego wykonaniu wraz z towarzyszeniem kapeli były, co tu dużo mówić — znakomite. Podobnie jak przyśpiewki Feliksa Ramuta z Osobnicy, którego wdzięk i naturalność w połączeniu z talentem komediowym — oczarowały salę.

W ogóle te przyśpiewki — żartobliwe i dosadne, kpiące i figlarne — to osobna karta ludowej twórczości. One to właśnie w lot chwytane przez publiczność stanowiły pieprzną przyprawę rzeszowskich eliminacji.

Skoro mowa o solistach, trzeba jeszcze koniecznie wspomnieć nazwisko Władysława Mrozka, najlepszego klarnecisty eliminacji z kapeli Florka z Górek i popularnego cymbalisty, Tadeusza Kaszowskiego, który występował z kapelą Bartłomieja Marszałka z Krościenka Wyżnego.

Kaszowski jest klasą dla siebie: chciałoby się rzec za Mickiewiczem:

„Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał
zagrać przy Jankielu".

Tyle tylko, że sytuacja u nas jest akurat odwrotna: mamy w kraju i to tylko w Rzeszowskiem zaledwie kilku cymbalistów i są to głównie ludzie starsi. Co będzie, gdy oni odejdą?

Już od paru lat mimo przyrzeczeń — nie zrealizowano obietnicy otwarcia klasy cymbałów przy Państwowym Ognisku Muzycznym w Krośnie — o której prowadzeniu od dawna marzy mistrz Kaszowski. Jak długo jeszcze ta niebłaha zresztą sprawa czekać będzie na rozwiązanie? To pytanie kierujemy pod adresem Wydziału Kultury Prezydium WRN.

Para tanerzy z rzeszowskiego WDK

Powróćmy jeszcze do festiwalu pieśni i tańca ludowego jakim niewątpliwie były ostatnie eliminacje. Ta piękna impreza wykazała stały rozwój ruchu amatorskiego w naszym województwie, była przekonywającym dowodem słuszności nowej polityki kulturalnej i zarazem dowodem postępu, jakiego dokonano w porównaniu do ubiegłego roku, podniesienia się poziomu artystycznego zespołów. Pokazała także, jak bardzo potrzebne jest ciągłe doskonalenie wciąż szczupłej kadry instruktorów, popieranie społecznego budownictwa obiektów kulturalnych, otoczenie jak najszerszą, stałą opieką zarówno zespołów jak i działaczy, najczęściej bezinteresownie, z całej duszy oddanych sprawom upowszechnienia kultury w swych środowiskach.

Na koniec dwa słowa o publiczności. Niestety, sala WDK, w której odbyły się eliminacje, zbyt często świeciła pustkami. Wielka szkoda, że mieszkańcy naszego miasta tylko w tak skromny sposób brali udział w naprawdę imponującym święcie rzeszowskiego tańca i pieśni ludowej.

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

P.S. Uwagi powyższe zatytułowałem słowami z frywolnej przyśpiewki oryginalnego śpiewaka, Władysława Muszyńskiego z Brzeźnicy w pow. dębickim. A swoją drogą, przyznajcie sami: jak to dobrze, że rzeszowski „kowal" tak się do tańca, śpiewu, muzykowania zapalił!

Rozważania i myśli

ZE SZTAMBUCHA

Historia jest polityką w stanie zastygłym.

Polityka — historią w stanie tworzenia.

*

Posucha na towary, tworzy urodzaj na klikl

*

Nieszczęsnym jest ten, kto swoich przyjaciół uważa za wrogów. Podwójną jest jego izolacja: wrogowie usuwają go od siebie, on sam zaś usuwa się od przyjaciół.

KRONIKA KULTURALNA

W eliminacjach wojewódzkich II ogólnopolskiego konkursu kapel, śpiewaków i tancerzy ludowych zorganizowanych przez Wydział Kultury WRN i ZW ZMW (omówienie podajemy na innym miejscu) wzięło udział: 14 kapel, 10 zespołów tanecznych, 3 zespoły z widowiskami, 6 solistów — śpiewaków, 2 solistów na harmonijkach ustnych.

W kategorii kapel dwa I miejsca jury przyznało kapeli z **Górek (pow. Brzozów) i Wójtowej (powiat Gorlice).** Ta ostatnia zajęła w ubr. I miejsce na eliminacjach ogólnopolskich w Kielcach.

Dwa II miejsca uzyskały **kapele z Krościenka Wyżnego (pow. Krosno) i Osobnicy (pow. Jasło).**

Również dwa III miejsca w tej kategorii zajęły kapele **z Bud Łańcuckich i Brzany (pow. Gorlice).**

W kategorii zespołów widowiskowych przyznano **dwa wyróżnienia: zespołowi z Krzemienicy (pow. Łańcut)** za „Wesele krzemienieckie" i zespołowi **z Łużnej (pow. Gorlice)** za widowisko regionalne — „Prządki".

I miejsce w kategorii zespołów tanecznych przypadło zespołowi pieśni i tańca ZMW **z Glinika Zaborowskiego** (pow. Strzyżów). II zespołowi ZDK w Stalowej Woli, a III zespołowi WDK Rzeszów.

Ponadto w tej kategorii przyznano wyróżnienie zespołom tanecznym **Rafinerii Niegłowice** (pow. Jasło) i ZMW Odrzykoń.

W kategorii solistów — śpiewaków I miejsce otrzymał **Stefan Kłosowicz** z zespołu Glinik Zaborowski. Drugiego miejsca nie przyznano, a dwa trzecie przypadły **Władysławowi Muszyńskiemu** z Brzeźnicy (pow. Dębica) i **Bronisławie Masłyk z Malinówki** (pow. Brzozów). Wyróżniono również śpiewaków solistów: **Józefa Szubę z Malinówki** (pow. Brzozów) i **Henryka Cyło z Przybyszówki** (pow. Rzeszów).

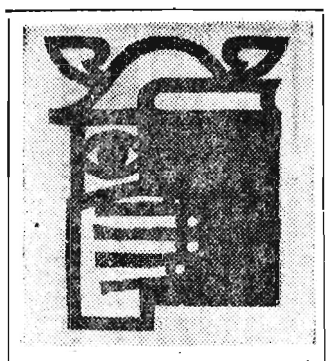

Emblemat Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie.

Po dziesięciu latach

ŻEGNAJ SZKOŁO

NIE o tegorocznych egzaminach dojrzałości, a jednak o maturzystach mam zamiar pisać. Sprzyja temu maj — miesiąc, w którym setki i tysiące młodzieży opuszcza mury szkolne ze świadectwem dojrzałości w ręku.

Żegnaj szkoło, żegnajcie koledzy! Zgrana dotąd paczka maturzystów kończy zasadniczo swój żywot. Nie ma już codziennych spotkań zwoływanych rozkładem zajęć lekcyjnych i dzwonkiem tercjana. Nie ma wspólnych pauz, dyskusji, spotkań piłkarskich, „humaniści" contra „matematycy". Wspólny pomaturalny komers jest jak gdyby końcowym, pożegnalnym aktem szkolnej przyjaźni, uczniowskiej solidarności. I jakkolwiek późniejsze, akademickie lata nauki również przynoszą wiele przeżyć i wzruszeń — nie będą one nigdy tym czym są lata szkolne.

Koledzy rozjeżdżają się do różnych miast, na różne uczelnie. Tworzą nowe środowiska, nowe „paczki". Z czasem nowe losy, nowe środowiska i zainteresowania zamazują coraz bardziej w pamięci twarze kolegów z liceum. Kontakty zaczynają się rwać. Mijają lata. Byli uczniowie i akademicy zdobywają zawody, stanowiska, tytuły, żenią się, mają dzieci... I tylko od czasu do czasu pamięcią sięgają w tamte, odległe, jakże piękne lata szkolne.

Aż wreszcie przychodzi jakaś okazja; rocznica zdania matury. Zdarza się, że ktoś tam jeszcze utrzymuje z kimś z „paki" stały kontakt. Dogadają się; zorganizujmy zjazd! Pomysł chwyta. Chęć odświeżenia wrażeń dostarczonych przez szkołę jest nie lada gratką. Rozpisują więc listy, ogłaszają komunikaty w prasie i w radio, nawiązują kontakt z gronem profesorskim. Do „biura organizacyjnego" zaczynają napływać z różnych stron kraju odpowiedzi od kolegów z „budy". Awizują swoje przybycie na zjazd. Organizatorzy dopinają wszystko na ostatni guzik i oto nadchodzi dzień spotkania po latach dziesięciu, piętnastu, dwudziestu itd.

GARŚĆ WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH

EGZAMIN dojrzałości zdałem w Krakowie w 1949 roku. Od tego czasu koleje mojego losu toczyły się różnymi torami. Nowi koledzy, nowe środowiska, praca, wyjazd do Rzeszowa, żona, dom, dzieci... Kontakty z „kumplami" z ławy szkolnej początkowo dość ściśle, zaczęły się powoli zamazywać, rwać. Tylko od przypadku do przypadku ożywały wspomnienia, gdy z tym czy innym kolegą spotkałem się w Krakowie, Katowicach czy Warszawie. Wspominaliśmy wówczas przeżyte wspólnie chwile, kolegów, ale i ci, z którymi właśnie przypadkowo się spotykałem — nie mogli poinformować mnie o innych.

rys. JERZY SIENKIEWICZ

Aż wreszcie w siódmym roku po zdaniu matury szczęśliwy los pozwolił mi ściślej zetknąć się z „jednym z paki". Do rzeszowskiego szpitala przyjechał na specjalizację kolega z ławy szkolnej — Franek P. Skończył medycynę w Krakowie, później przez pewien okres pracował w szpitalu jednego z powiatowych miast województwa rzeszowskiego i w końcu osiadł w Rzeszowie. Zdążył się tutaj ożenić.

Z chwilą przyjazdu Franka do Rzeszowa miałem już z kim wspominać o tamtych czasach; o wkuwaniu przed maturą, o kawałach, przyzwyczajeniach profesorów, sprycie kolegów — bal — nawet o tych udanych i nieudanych wagarach, po których wiele przykrości musiał człowiek doznać od wychowawcy klasy i... rodziców. We wspomnieniach naszych często ożywały chwile przeżyte w szkole. Wspomnienia te snuliśmy zawsze nie bez nutki żalu, że już nigdy nie wrócą, że będą tylko wspomnieniami coraz bardziej odległych lat.

Nadszedł jednak maj 1959 r. — dziesięciolecie naszej matury w „piątej budzie". Zasadniczo nawet nie myślałem o tym, gdy oto otrzymałem telegram:

— „23 maja br. organizujemy zjazd koleżeński z okazji 10-lecia matury. Jeżeli masz zamiar przyjechać, odpowiedz na nr..... Staszek H."

„...Jeżeli masz zamiar przyjechać" — oczywiście! Któżby przegapił taką okazję. Jak ten Staszek mógł w ten sposób formułować treść telegramu?!

„Po długim namyśle zdecydowałem się i chyba przyjadę..." — odgryzłem się na idiotyczny telegram, chociaż nie mogło być mowy o innej „decyzji". Na pewno pojadę!

PO DZIESIĘCIU LATACH

I ZNÓW znajome mury „piątej budy". Te same, wydeptane schody. Susami, potrzy i cztery schody, tak jak przed laty, kiedy jeszcze po dzwonku „należało" skończyć rozpoczętego seta, wpadam na drugie piętro... Ten sam korytarz. Ta sama klasa — „XI A". Zza drzwi słyszę jakiś głos.. Ależ tak, poznaję, to przecież wychowawca naszej klasy, profesor T. Spóźniłem się — również tak jak przed laty przez ciało przebiega dreszcz emocji; co powie profesor, jak się usprawiedliwić?

Pukam i śmiało wchodzę. Wita mnie gwar klasy. Rozglądam się. Ten w pierwszej ławce pod ścianą to Janusz Z., a ten obok niego to kto, nie poznaję. Jestem nieco zdezorientowany... Za katedrą oczywiście nasz wychowawca — prof. T. Ależ jak on się postarzał. Przecież ostatnio nie miał jeszcze siwych włosów. Ach, to „ostatnio" było 10 lat temu. Spoglądam jeszcze na siedzących po obu stronach katedry profesorów; jakżeż oni się zmienili od tamtego czasu! — i podchodzę do wychowawcy.

— Panie profesorze — szukam odpowiednich słów — bardzo przepraszam, że dopiero teraz. Pociąg się spóźnił, to jest właściwie pociąg się nie spóźnił, ale znów nie mogłem się doczekać na „dwójkę", na Basztowej naprawiają szyny...

— Siadaj — profesor wskazuje wolne miejsce, a koledzy wybuchają śmiechem, przypominając sobie, że właśnie najczęstszym usprawiedliwieniem spóźnialskich były awarie i przerwy w komunikacji tramwajowej.

Znów siedzę w ławce szkolnej. Nadal nie mogę ochłonąć z wrażenia. Rozglądam się po klasie. Ależ ten Jurek R. wyłysiał. A Zbyszkowi S. jak ładnie się już brzuszek zaokrąglił! A ten w okularach to kto? Ależ to — Jurek S. Józek S. też utył, ale Staszek B. nic a nic się nie zmienił... Niby reflektorem ślizga wzrok po twarzach profesorów; jest nasz drogi polonista, dr L, jest historyk dr B, jest mgr P... A gdzie łacinnik prof. P? Nie znajdując, pytam siedzącego obok mnie Jurka R.

— Umarł przed dwoma laty — odpowiada. Nie zobaczymy też nigdy prof. K, który nas uczył śpiewu — dodaje.

Wychowawca klasy, prof. T. odczytuje z katalogu „XI A" sprzed 10 lat nasze nazwiska.

— Wacek B?

— Nieobecny — odpowiada Rysiek. — Skończył medycynę. Pracował też w krakowskim radio jako konferansjer audycji estradowych. Obecnie przebywa u rodziny za granicą.

— Eugeniusz B.

— Obecny — Gienek wstaje i w myśl umowy opowiada swoje dzieje. — Po zdaniu matury zapisałem się na biologię przy U. J. Skończyłem i obecnie pracuję w Stacji Selekcji Roślin.

— Wiesław B.

— Nieobecny. Jest oficerem WP Widocznie nie mógł przyjechać.

— Stanisław B.

— Skończyłem rolnictwo i jako inżynier rolnik pracuję w Zarządzie Wojewódzkim PGR.

— Józef B.!

— Los skierował mnie na prawo i obecnie jestem prokuratorem w M.

— Stanisław H.!

— Również studiowałem prawo i jako prawnik pracuję w Prezydium WRN w Krakowie.

— Mieczysław M.!

— Jestem lekarzem-pediatrą.

— Franciszek P.!

— Jako lekarz pracuję w Szpitalu Wojewódzkim w Rzeszowie. Specjalizuję się na neurologa.

— Tadeusz S.!

— Po skończeniu polonistyki pracuję w radach narodowych jako zastępca kierownika Wydz. Kultury...

Jeden po drugim wstają byli uczniowie klasy „XI A" i opowiadają swoje dzieje. Zbyszek S. po zdaniu matury poszedł do szkoły lotniczej (jeszcze jako uczeń był pilotem szybowcowym). Latał przez jakiś czas w LOT, a potem coś mu zdrowie zaczęło nie dopisywać i musiał przenieść się do Aeroklubu. Spowodował wypadek lotniczy. Zwolnili go z lotnictwa i obecnie prowadzi małą, prywatną wytwórnię tworzyw sztucznych. Powodzi mu się wcale nieźle. Janusz Z. — ten był zawsze spryciarzem — jest wicedyrektorem jednego z przedsiębiorstw w Nowej Hucie. A Jurek R? O, ten miał ciekawe koleje losu. Bezpośrednio po maturze wyjechał w ramach wymiany studentów do Pragi czeskiej. Studiował tam medycynę. Początkowo uczył się wcale nieźle (w szkole był b. dobrym uczniem), lecz, jak sam przyznaje — rozpił się. Musiał wracać do kraju. Nie chciał się więcej uczyć. Pracował jako urzędnik w pewnej firmie budowlanej. Dużo pił. Po kilku latach przekonał się jednak, że źle postępuje i wrócił na medycynę. Jest obecnie na piątym roku...

Tak oto przedstawia się historia 10 lat nauki i pracy grupy maturzystów V Liceum Ogólnokształcącego im. J. Kochanowskiego. A jak potoczą się losy maturzystów z 1959 roku? Przekonamy się za 10 lat, kiedy to spotkają się ze sobą przyszli lekarze, inżynierowie, hutnicy, prawnicy, konstruktorzy, magistrzy farmacji — ci, którzy dziś ze świadectwami dojrzałości w ręku wkraczają na nowy etap życia. Na drodze tej życzymy im powodzenia.

J. WOŹNIAK

GDY ŚWIECI SŁOŃCE

List ze Szczecina

MIASTO ZIELENI

PRZYBYWAJĄCY do Szczecina podświadomie zdaje się szukać morza. Podświadomie, bo wiadomo przecież, że dla zobaczenia go trzeba pokonać jeszcze 65 kilometrów, tyle bowiem liczy odległość od grodu Szczota, legendarnego założyciela osady rozbudowanej z czasem w obronny gród Szczecin, do pełnego morza. Tak, to prawda — nie ma w Szczecinie morza, natomiast jest woda. Proszę mi darować cyfry, ale te najlepiej zobrazują proporcje jakie zajmuje w tym mieście woda i zieleń. Z 280 km kwadratowych powierzchni miasta, woda zajmuje jedną czwartą, zieleń zaś połowę. W sumie daje to zgoła niezwykły układ, dostarczający wiele radości zwłaszcza przyrodnikom. Nie ma bowiem drugiego miasta w kraju o tak bogatych, częstokroć zaskakujących wręcz okazach drzew, które świetnie czują się w szczecińskim klimacie. Pokazywano mi w jednym z parków drzewa, których ojczyzną jest daleki Cejlon. Obok tego bożodrzewu — nazwa pochodzi stąd, że znajdowały się one przy pogańskich świątyniach, parki szczecińskie posiadają różnego rodzaju miłorzęby, tulipanowce. Najciekawszy jest okaz cypryśnika błotnego — drzewa, które na zimę gubi gałązki wraz z igłami! Ponoć rosły takie u nas jeszcze przed 18 milionami lat... Parki stolicy Pomorza Zachodniego to osobny temat. W sercu miasta, niemalże, znajduje się na przykład rezerwat buków i platanów. Te ostatnie pochodzą znad Morza Śródziemnego. A park Jana Kasprowicza w którym znajduje się most łączący brzegi jeziora Rusałka, zbudowany na wzór japoński w kształcie łuku. Dlatego mówiąc o Szczecinie powiedzieć można, że w mieście tym jest morze — zieleni.

Reportażyści, zwłaszcza radiowi, ostrzą pióra i stroją mikrofony na konkurs jaki rozpisała Rozgłośnia Szczecińska na reportaż o morzu. Impreza zapowiada się bardzo interesująco. Skład jury konkursu, w którym zasiąść mają luminarze reportażu, wśród nich Juliusz Kydryński zdobywca pierwszej nagrody w międzynarodowym konkursie na reportaż z EXPO 58, stwarza dodatkową emocję kandydatom do tego dziennikarskiego turnieju.

Jeśli ewentualny Czytelniku tej korespondencji będziesz w Szczecinie, myślę tutaj zwłaszcza o chłopcach, których wakacyjne szlaki zaprowadzą być może nad Bałtyk — nie zapomnij złożyć wizyty w Muzeum Pomorza Zachodniego. Bogaty serwis średniowiecznej sztuki być może nie znajdzie u ciebie uznania, ale dziesiątki modeli statków, to coś dla twego wieku i jego marzeń. Zobaczysz modele starych stateczków, dziś wywołujących uśmiech niedowierzania, że coś takiego w ogóle mogło pływać. Ale obok szacownych staruszków zobaczysz modele współczesnych jednostek morskich produkowanych w stoczniach polskich. Niejedną chwilę pomarzysz o szlakach nieznanych, które chciałbyś przemierzać i to w dodatku na polskim okręcie!

Nim jednak ruszysz w zamorską wędrówkę radzę na przystani Żeglugi Szczecińskiej, jej port znajduje się przy Wałach Chrobrego, wsiąść na statek i zrobić wycieczkę do morza Po drodze zwiedza się historyczną wyspę Wolin. Piękna trasa dostarcza emocji i wrażeń w ilości śmiało pozwalającej na zrobienie zapasów do następnych wakacji.

W restauracji „Gryf" jedząc obiad miałem okazję rzucać od czasu do czasu okiem znad talerza na ściany, które szczecińscy plastycy zawiesili swoimi pracami. Pomysł wydał mi się całkiem udany. Świadczący o aktywności myślenia jego twórców. Oczywiście — nie jest to wymarzone miejsce dla odbioru sztuki, ale czyż nie warto wykorzystać nawet takiej okazji dla zbliżenia konsumenta, w tym wypadku dosłownie i w przenośni, do malarstwa. Autorzy tego pomysłu poszli jeszcze dalej, każdą z prac oprócz podpisu opatrzyli także ceną. Pytałem czy ktoś po zjedzeniu obiadu wyraził ochotę na kupno obrazu. Owszem, trafił się jeden czy dwóch. Zresztą chodziło tutaj głównie o to by pokazać, że obraz oglądać można wszędzie, a nie tylko w zamkniętych salach.

Pomyślałem o moich rzeszowskich kolegach wśród plastyków. Nie ustają w zapamiętałej dyskusji gdzie wystawiać prace. Dyskutują tak namiętnie, że kto wie, czy zauważyli jak ich niewiele starsi koledzy z krakowskiej grupy MARG zdążyli już zrobić dwie wystawy w hallu teatru. Chcąc nie chcąc każdy widz zmierzając na widownię musiał rzucić okiem na obraz. Czy upowszechnia się przez to plastykę. Oczywiście. Czy warto rezygnować z każdej nadarzającej się okazji by obraz podsuwać jak najbliżej odbiorcy. Na pewno nie!

WIESŁAW GŁOWACZ

FILATELISTYKA

Dnia 23 maja br. to jest w dniu rozpoczęcia obrad VI Zjazdu Delegatów PZF w Warszawie oraz z okazji 65-lecia polskiego ruchu filatelistycznego ukazały się w małym arkusiku ozdobnym, liczącym 6 znaczków i tyleż pól bocznych z hasłami trojakiej treści znaczki lotnicze wartości 10 zł z dopłatą 5 zł na rzecz budowy Domu Filatelisty i rozwoju filatelistyki w Polsce.

Cena arkusika wydanego w ograniczonym nakładzie dla filatelistów zrzeszonych w PZF będzie wynosiła 90 złotych.

J. K.

Tadeusz Piekło

KAWIARNIA

po wyłości uśmiechów
nad pluszem czerwonym
gesty światełku rzeczom
po inność dotyku
twarze pouciekane
od cisz monotonii
to jak
jakby do kina ktoś szedł
z własnym filmem
z fotelem i programem
niosąc siebie w dłoni.

RZESZÓW 1959

„BIAŁA CHRYZANTEMA"

Taką nazwę nosi jedyna w kraju hodowla... rasowych psów pokojowych — maltańczyków — prowadzo na przez panią Marię Orłowską z Warszawy.

CAF — fot. Miedza

Czy zwierzęta potrafią się same leczyć?

Czy człowiek jest jedyną istotą, która nauczyła się w ciągu swego tysiącletniego rozwoju leczyć? — Oczywiście — odpowiedziałaby na to pytanie większość ludzi. Doświadczenia, które naukowcy przeprowadzili w ostatnich latach, wykazały całkiem przekonywająco, że niektóre zwierzęta są bardzo wynalazcze, gdy są dotknięte jakąś chorobą i że mają częstokroć skuteczny sposób leczenie, którym osiągają godne uwagi wyniki.

Doświadczenia były prowadzone na chorym zwierzęciu, izolowanym w specjalnej klatce, do której dano mu wszystkie gatunki roślin z lasów, w których gatunek tego zwierzęcia żyje na wolności. Wkrótce stwierdzono, że chore zwierzę wybrało sobie z tych roślin akurat te, których potrzebowało do wyleczenia swojej choroby. Prawdopodobnie to zwierzę byłoby w ogóle nie zachorowało, gdyby mogło znaleźć te lecznicze rośliny wcześniej. Stwierdzono również, że zwierzęta żyjące na wolności jedzą niekiedy profilaktyczne rośliny lecznicze, żeby utrzymać się przy zdrowiu.

Naukowcy nie stwierdzili czy zwierzę robi to wszystko z pobudek rozumowych czy instynktownych. Instynkt jest jednak pojęciem bardzo szerokim, które obejmuje szereg zagadnień nie mających wiele wspólnego z psychologią zwierząt. Prowadzone obecnie doświadczenia dają nie zbitą pewność, że niektóre zwierzęta potrafią się leczyć same.

Niedźwiedzie po przebudzeniu się wiosną ze snu zimowego zajadają z apetytem borówki, które działają przeczyszczająco, a równocześnie pobudzają do działania system pokarmowy po długim zastoju. U pewnego gatunku górskich zwierząt łanie wyszukują sobie, gdy są kotne, swoje pożywienie z taką samą troskliwością, jak to czynią ciężarne kobiety według zaleceń doświadczonego lekarza. Rogacze i jelenie, podczas wyrastania im nowych rogów z upodobaniem wyszukują sobie do picia wodę zawierającą dużo wapna.

W Afryce swego czasu złapano małpę, która miała na prawym boku pod skórą jakiś dziwny guz. Przy bliższych oględzinach stwierdzono, że guz jest akurat w miejscu źle zrośniętej blizny. Weterynarz dokonał operacji małpy i pokazało się, że małpa miała zarośnięty pod skórą spory zwitek pogryzionych liści drzewa znanego z właściwości leczniczych. Małpa urwała te liście, pogryzła je i położyła na ranę.

Pewien obłaskawiony orangutan na jednej fermie malajskiej okładał paszczę wilgotną gliną. Wezwany weterynarz stwierdził, że małpa cierpi na silny ból zęba. Orangutan starał się tym zimnym „glinianym okładem" zmniejszyć ból. W trzy dni potem małpa sama wyrwała lewy dolny ząb trzonowy, który z wielką radością przyniosła swemu panu.

Również o bekasach krążą wieści, że potrafią same się wyleczyć gdy złamią nogę. Leczą się przy złamaniu nogi jakimiś okładami z gliny i różnych traw. Niektóre gatunki owadów potrafią nawet przeprowadzić jakieś prymitywne zabiegi chirurgiczne. Gdy na przykład mrówka złamie nogę, to przyjaciółki szybko amputują jej zranioną nogę. Stwierdzono również, że niektóre gatunki mrówek izolują jednostki chore.

(t. j. b.)

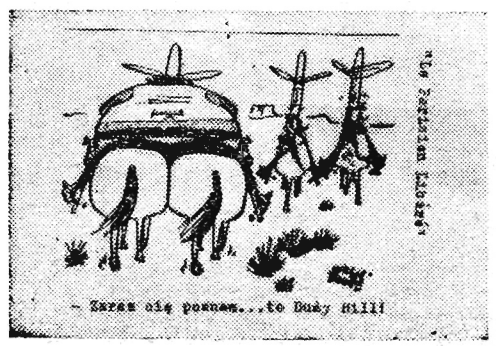

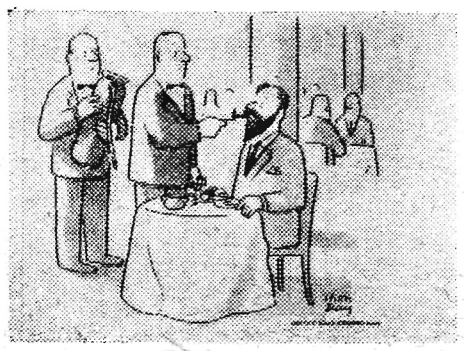

NOWINKI Z KSIĘGARNI

Sięgając dziś na półki księgarskie z nowościami, musimy zwrócić uwagę na niedawno zapowiedzianą w naszej stałej rubryce książkę bibliograficzną Janusza Stradeckiego pt „Julian Tuwim" (PIW — 60 zł). „Nowe wiersze" — A. Słonimskiego (Czyt. — 10 zł), „Ciężar ziemi" — W. Słobodnika (PIW — 12 zł) oraz „Chcę zbliżyć" — M. Jachimowicza (Oss — 6 zł) — oto tytuł zbiorów wierszy, które zainteresują amatorów poezji.

Kolekcjonerom powieści biograficznej mogę podpowiedzieć, że ukazała się pierwsza książka o Henryku Sienkiewiczu pt. „Powieść niedługo napiszę prześliczną" Autor Eugeniusz Szermentowski. Wydała „Nasza Księgarnia" cena 18 zł. Tu warto zaraz wspomnieć o wznowieniu H. Sienkiewicza „Quo vadis" PIW — 42 zł).

„Trzy listy prababek" — taki tytuł nosi zbiór opowiadań Z. Bartkjewicza (Czyt. — 16 zł) o Warszawie z okresu przebojów Ordonówny. Świetny obraz stolicy tamtych lat. Natomiast „Po burzy" K. Filipowicza (Czyt. — 12 zł) to wznowienie opowiadań o powojennych losach byłych więźniów obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych.

Klub Srebrnego Kluczyka wydał dwie nowe pozycje: J. Wołowskiego „Proszek do prania" — sensacyjną powieść o przemycie i sprzedaży morfiny, opartą na prawdziwych dokumentach (Iskry — 10 zł) oraz T. Kwiatkowskiego „Donoszę ci Luizo..." (cena 13 zł) powieść kryminalna o tajemniczym anonimie.

Kończy się rok szkolny, warto więc pomyśleć o nagrodach dla prymusów. Bezsprzeczną radość dzieciom muzykalnym sprawi piękne albumowe wydawnictwo Noskowskiego i Konopnickiej pt. „Cztery pory roku" (PWN — 60 zł), które zawiera 50 piosenek do słów wielkiej poetki, a ilustrowane jest zdjęciami Puchalskiego i rysunkami W. Skulicza.

(M. G.)

Mała podróż wokół jajka

Fachowcy próbowali niedawno w Londynie 31 rodzajów rozmaitych jajek. Stwierdzili, że najsmaczniejsze są jajka kurze. Potem w kolejności jajko wróbla, kaczki, itd.

Struś znosi 12—15 jajek, z których każde waży 1—2 kg. Na jajkach nie siedzi tylko samica, ale regularnie zmieniają również samiec.

O krokodylu wie każdy człowiek — ale nie wszyscy wiedzą, że krokodyl znosi jajka, z których się potem lęgną młode krokodylęta. W ciągu godziny samica krokodyla znosi sześćdziesiąt, a niekiedy nawet sto trzydzieści jajek.

Po kilkuletnich doświadczeniach pewien amerykański hodowca wyhodował specjalne chińskie kury, które znosiły błękitne, zielone i różowe jajka. Według doświadczeń hodowcy kury znosiły wszystkie jajka jednakowego koloru, ale na przykład z różowych jajek mogła się wylęgnąć kura, która potem znosiła oliwkowo-zielone jajka.

W wyniku poszczególnych doświadczeń stwierdzono, że białko jest o wiele pożywniejsze niż żółtko jajka. Zawiera ono zwłaszcza znacznie więcej pożywnej proteiny. Wartość proteiny w jajku jest wyższa niż proteiny w mięsie albo rybie. Równać się z nią może jedynie proteina zawarta w mleku. Tym niemniej główna proteina mleczna, tak zwana kazeina pod względem biologicznym ma mniejszą wartość niż proteina jajka.

Co nowego na ekranach

„BIEDNI, ALE PIĘKNI" — komedia produkcji włoskiej odznaczająca się interesującą fabułą i zabawnymi sytuacjami. W roli głównej Marisa Allasio.

„RASHOMON" — film produkcji japońskiej, którego akcja rozgrywa się w dawnych czasach. Obraz ten został odznaczony Złotym Lwem na Festiwalu w Wenecji.

„BOHATERKA DNIA" — w ramach produkcji włoskiej o młodej dziewczynie, która za wszelką cenę chciała zdobyć popularność. W rolach głównych: Virna Lisi i Antonio Cifariello.

„POJEDYNEK" — film produkcji francuskiej przedstawiający małe miasteczko i stacjonujący w nim pułk wojsk carskich.

Wierny przyjaciel

W słoneczną, ciepłą niedzielę zwykle wybieramy się nad Wisłok lub na dłuższe wycieczki w piękne okolice Rzeszowa. Niezawodnym przyjacielem również na wycieczce jest książka, mała, zręczna, która bez trudu mieści się w kieszeni.

Do książek tego typu należy seria „Światowida", wydawana przez „Książkę i Wiedzę". Dotychczas ukazały się: „Hanza — władczyni mórz" — H. Samsonowicza, „Aleksander Macedoński" — J. Modrzejewskiego, „Handel chłopami w dawnej Rzeczypospolitej" — J. Dereslewicza, „Mahomet i świat muzułmański" J. Reychmana, „Stanisław August — polityk" A. Zahorskiego i „Na dworze króla Władysława IV" — W. Czaplińskiego.

Za tymi skromnymi tytułami, kryje się pasjonująca treść o życiu ludzi w różnych epokach. Za 10 zł, bo tyle kosztują poszczególne tytuły, możesz z rzeszowskich księgarń zabrać miłego towarzysza podróży lub niedzielnego odpoczynku.

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

SYLABÓWKA

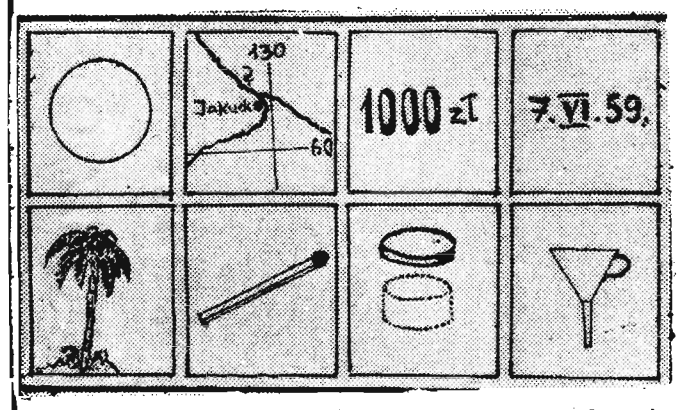

Z rysunków należy odgadnąć 8 wyrazów. Pierwsze sylaby tych wyrazów czytane kolejno dadzą w rozwiązaniu pożyteczne upomnienie dotyczące znacznej ilości Czytelników.

ZAGADKI BLIŹNIACZE

I. SZARADKA

CZTERY WSPAK — DWA — TRZECIE wyspy (wśród nich Kuba),

PIERWSZY — PIERWSZY taniec dawny, lecz swawolny.

CAŁOŚĆ — to melodia śpiewnością swą luba —

Jej nie wyprowadzi odtwórca mniej zdolny.

II. KALAMBUR

Krawędzie i wielka syberyjska rzeka

Melodię Ci dadzą, co wdziękiem urzeka.

Za rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział Nowin Rzeszowskich w Przemyślu, ul. Waryńskiego 15. „Rozrywki umysłowe" — przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody.

ROZWIĄZANIA I NAGRODY Z NR 17 (460)

KRZYŻÓWKA

POZIOMO — baobab, szelak, era, ket, emir, arak, kat, awizo, Rut, Ural, Aza, nuda, tapir, Dakar, bak, bob, farad, nakaz, Aden, Fin, bile, sed, Ursus, ter, aura, gaza, PAN, aga, aliant, tonika.

PIONOWO — berkut (birkut), Bem, aria, barwa, skaza, zero, eta, kantar, etap, kruk, ara, Iza, uda, Liban, nabab, rad, Don, fasada, Ada, reda, lis, kita, ale, zeriba, frant, nugat, Uran, UPA, Zan.

NAGRODY WYLOSOWALI: I. Kazimierz Skarbowski — Jarosław, II. Grzegorz Kotula — Chorzów, III. Jadwiga Guzowska — Frysztak.

Nagrodę autorską otrzymuje **Stanisław Kaflowski — Wola Raniżowska (pow. Kolbuszowa).**

Mieszanka regionalna

Mioł zmysła na gupik

W DOWNYK casak zyłe roz chmara gupłasów. Buł miyndzy niymi i mondry. Ludzie gupcy mieli swego buozka, którego sanowali i mieli za nie wiem co. Buozek buł ulepiony z chleba. Wkoło niego było uogrodzenie, zeby tam nik co na despet nie robiuł. Tyn mondry to śmioł się z gupik. Buł roz głodny i wloz za to uogrodzynie i zjod buozka. Gupcy przychyodzom, patrzajom, a tu buozka ni ma. Gdy napuotkali mondrego, pytajo się go o buozka, a tyn jym godo, ze buozek uciyk do lassa i do dziuply wloz na drzewie. Gupcy dali mondrymu duzo piniendzy, zeby jym pokozoł to drzewo, co jest w niym ta dziupla i w ni buozek siedzi. Tyn mondry godo, zeby wziyli ze sobom drabine i nieśli jom w poprzyk drzew. Uoni tak spróguowali, ale tylo zarobili, ze sie jym złomała.

To puosli znoł do mondrego i godajom, ze tak, siak ni może być, zeby jym lepi doradziuł. To uon zaprowadziuł ik do drzewa, no i godo, zeby na niego (niby na to drzewo) wylazili, ale tak: jedyn, zeby stoł na ziemi, drugi by wyloz na niego, a trzeci znoł na drugiego i tak dali, jaz dojdom do samy dziuply. Uoni zrobili, jak radziuł.

Tyn uostatni, co doloz do dziuply, wraziuł reke do dziury, a tam co nie było! Zamias buozka były osy. Wyleciały z diupliy i dali go gryź, a uon sie drze, jak by guo ze skóry uodziarali, jaz wszyscy ze strachu puospodali z drzewa na ziemie. Potym pośli znoł do tego mondrego i pytajom, locego jym tak źle radziuł? Od słowa posło do słowa, ukwolili, ze go za to trza utopić. Zasyli go we wuerze i polozyli przy bajórze głymbokiym. Gdy uod tego wuora uodeśli, zeby nalyź spuory kamyń, wtedy won rozpruł tyn wuór, wyloz z niego, a za sibie wraziuł kloc do wuora uodeśli, z drzewa. Wrócili gupcy z kamyniem, by topić tego mondrego. Wziyli wuor z klocem i ciśli do bajóra. A tyn mondry, który uciyk, śmioł sie z nik z krzoków do siebie.

Za jakisi cos mondry pokozoł sie miendzy gupłokami. Uoni zacyli sie uopytywać, w jaki śpas uon muoze zyć. Uon jym godo, ze go do wielkiego sęścio wrzucili, ze mo tam skarby i wszyćko. Wtedy gupcy dali mu duzo piniendzy, by jym wszyćko uopowiedzioł. Uon piniondze wzioł i bajdurzy, ze w bajórze jest tamto, sio cego jno dusa zagragnie. Wtedy gupcy zmówili sie, ze tam pódom.

Ale pódom tak: nojpiyrw jedyn skuocy; jeźli bedom skarby, to sie bedzie dar. Wtedy drugi skuocy sie puopatrzyć, cy to prowda. Jeźli tak, no to znoł sie bedzie dar i tak dali. I tak tyzto i zrobili. Piyrse wskuocuł jedyn. Jak sie mu wuody do paji nalolo, to sie dar. Drugi myśloł ze som skarby, skuocuł za nim; znoł sie topiuł, to sie dar. Trzeci myśloł, ze tyk skarbów duzo w błocie jest, to tyz chipnoł. To samo sie stało z nim, co z tamtymi. Jaz do tego doslo, ze wszyscy pouskakowali do bajóra i piknie sie puotopili, ze na śćo zuostoł z babom jyno mondry.

Rozmnozuł sie, jak nolezy, i dugo mu sie na świecie i sęśliwie nicym wraju z familijom zyło.

Ale z casym, z casym znoł na świecie pojawiły sie gurtoki. Wysioli sie uod potomków tego mondrego jak uoset albo tyn młyc. I nigdzie ik nie brakuje. Zeby kto mioł na nik zmysła! Zeby to dziś takie gupie do bajóra poskuokali i w błocie sie puotopili! Nie byłoby bez nik dobrze na świecie?

Oprac. W. DŁUGOSZ